

Russiagate, czyli liberalne patologie i teorie spiskowe w epoce Trumpa

24 kwietnia 2019

Wędrówka przez jankeskie media w ciągu ostatnich dwóch tygodni to osobliwa przygoda. Coś jak safari po szpitalu psychiatrycznym, opuszczonym przez lekarzy, w którym pozostali pacjenci, trwając w obłąkaniu i histerii po publikacji [raportu](#) specjalnego prokuratura Roberta Muellera.

Nagłe wzmożenie zachowań [dziwaczkich](#) i [niebezpiecznych](#) zaobserwować można było już przy okazji streszczenia, które [wygłosił](#) prokurator generalny William Barr. Obwieścił on bowiem miastu i światu, że po dwóch latach federalnego śledztwa, które kosztowało blisko 35 mln dolarów i prowadzone było przez zespół [złożony z najbardziej agresywnych prokuratorów i agentów FBI](#), nie udało się znaleźć ani pół grama dowodu na choćby cień spisku zawiązanego ponoć pomiędzy Trumpem i Putinem celem wyboru tego pierwszego na stanowisko prezydenta USA.

Po rzeczonym streszczeniu nadeszła [pierwsza fala desperacji i nasilonego obłądka](#). Klankor, który się podniósł, słysząc było chyba nawet na księżycu. Żądano publikacji raportu, a gdy ten się pojawił – pełnej, niezredagowanej wersji.

Ci biedni ludzie wciąż nie pojmują, że im więcej tego dokumentu ujrzy światło dzienne, tym bardziej ich teoria spiskowa okaże się idiotyczna i na tym większą kompromitację będą narażeni oni sami. Poziom propagandowego obłąkania na punkcie rzekomych ścisłych powiązań Trumpa i władz w Moskwie [urósł w USA do rangi czegoś na kształt religijnego aksjomatu](#) i swoistą formą profanacji było podważanie go.

Niemniej, to nie jakieś wariactwo legło u podstaw tej nowej

kultury, lecz – podobnie jak ze Smoleńskiem w Polsce – konflikt na szczycie. Tak drastyczny, że z poziomu kampanii wyborczych i kopania się po kostkach zniżył się do walk w kisielu spiskowych teorii, w które najbardziej zaangażowani propagandyści w końcu chyba uwierzyli.

Największym zaskoczeniem ostatnich trzech lat dla wszystkich, którzy oparli się psychozie Russiagate, był zasięg i moc tego zjawiska. Nie było ich wielu. W Polsce za przyzwote uchodzi, bez względu na orientację polityczną, bezmyślne kopiowanie amerykańskich narracji, więc kwestia ta stała się nad Wisłą zbiorom wspólnym dla Rachonia i Majmurka, partii Razem, Gazety Wyborczej i Jasia Śpiewaka, nie mówiąc oczywiście o niemałej rzeszy mieszczańskiego pospólstwa z przegniłym od rusofobii sercem. A ponieważ Polacy muszą być od papieża bardziej święci, tutaj idiotyzmowi temu nie sprzeciwił się nikt z nazwiskiem czy stanowiskiem.

W USA zaś sceptycyzm wobec tego spiskowego myślenia pojawił się już w 2016 r. Głosy takie gasły jednak w miarę jak establishment medialny, polityczny i policyjno-prokuratorski związany z partią Demokratyczną i klanem Clintonów dął coraz mocniej w spiskowe trąby, zagłuszając niemal wszystko. Mimo to, epidemii nie ulegli choćby tacy ludzie jak Aaron Maté, Matt Taibi, Steven Cohen, Jimmy Dore, Jordan Sheridon, Greg Palast, Ben Norton, Max Blumenthal, Abbey Martin, Chris Hedges, Glenn Greenwald czy nieżyjący już Robert Perry. Nie jest to pełna lista, a wszyscy wymienieni to poważne i popularne postacie, niektóre nagrodzone np. Pulitzerem.

Dziś jednak to nie ci ludzie triumfują, lecz Donald Trump, a to przecież początek początku. Kampania na okoliczność wyborów prezydenckich w 2020 r. jest dopiero u zarania. Później będzie już tylko gorzej. Zwłaszcza dla politycznych przeciwników Trumpa, którzy tonąc w tej chwili w hysterii nie bardzo zdają sobie chyba sprawę z ciężaru topora, który [sami przystawili do pnia](#). Teraz bowiem William Barr i zdominowany przez Republikanów amerykański senat może przystąpić (i powinien!)

do [śledztwa wobec komisji pod przewodnictwem Muellera](#).

Od zarania bowiem prowadzone przez tę komisję postępowanie było nadzwyczaj szemrane, podobnie jak wszystkie działania towarzyszące.

Począwszy od doprawdy [osobliwego tańca FBI](#) wokół rzekomo zhackowanych serwerów Krajowego Komitetu Demokratów (DNC), z których rzekomo Rosja wykradła e-maile ważnych funkcjonariuszy tej partii i rzekomo przekazała WikiLeaks, których w końcu nie udało się nawet na chwilę zatrzymać i zbadać, przez [puste oskarżenia](#) przypadkowych obywateli Federacji Rosyjskiej rzekomo związanych z “farmą trolli” niedaleko Petersburga, po tzw. teczkę Steele’a (Steele dossier).

Ten ostatni element jest szczególnie istotny, gdyż [składa się on wyłącznie ze zmyśleń, pokrętnych interpretacji oraz oczywistych kłamstw](#). Zważywszy, że to właśnie ten stek bzdur, opracowany, nawiasem mówiąc, na zlecenie Hillary Clinton i przez DNC opłacony, w ramach kampanijnego obrzucania się błotem w 2016 r., stał się najważniejszą dźwignią krytyki Donalda Trumpa i ukazywania go jako rzekomego rosyjskiego agenta trzymanego na krótkiej smyczy przez Kreml... Ktoś chyba musi za to odpowiedzieć.

W trakcie prowadzonego przez Muellera śledztwa stopniowo okazywało się, że niemal każda informacja zawarta w tej tezcze (składa się ona z 17 notatek sporządzonych pomiędzy czerwcem i grudniem 2016 r. przez byłego agenta brytyjskich służb specjalnych Christophera Steele’a) jest nieprawdziwa. Poza didaskaliami, które były konglomeratem wycinkowo dobranych informacji dostępnych publicznie. Przesłuchania ujawniły, a finalny raport potwierdził jedbak, że najbardziej spektakularne oskarżenia są kompletnie pozbawione sensu.

Żaden pracownik czy wolontariusz kampanii Donalda Trumpa ([Carter Page](#), [George Papadopolus](#), [Paul Manafort](#)) nie umawiał się z przedstawicielami władz Federacji Rosyjskiej na nic

politycznego, a już na pewno nie na to, żeby Moskwa wspierała ich kandydata w jakikolwiek sposób. Michael Dean Cohen, prawnik Trumpa do ubiegłego roku, nie podróżował do Pragi, żeby spotkać się z rosyjskimi szpiegami by domówić hacking jakiegoś komputera, nie mówiąc już o wyborach prezydenckich; okazało się że Cohen w ogóle nigdy w życiu nie był w Republice Czeskiej. Nie ma też dowodów na istnienie żadnych pornograficznych nagrań wykonanych przy okazji wizyt Trumpa w Moskwie z udziałem jego i sikających prostytutek. Nie istnieje lub nie wydarzyło się też całe mnóstwo innych rzeczy i zjawisk, nie zaszło multum innych okoliczności, których nie sposób opisać w krótkim publicystycznym opracowaniu. A można tu wyliczyć doprawdy nieprawdopodobną ilość półprawd, manipulacji i zwyczajnych, prostych łgarstw.

Jedyne, przy czym Mueller próbuje się upierać, to pośrednie zaangażowanie rosyjskiego wywiadu wojskowego (GRU) po stronie kampanii Trumpa. Problem w tym, że i na takie tezy dowody są bardziej niż słabe. Na przykład w odniesieniu do e-maili opublikowanych w 2016 r. przez WikiLeaks w raporcie napisano, iż “wygląda na to, że [grupa oficerów] GRU wykradła tysiące wiadomości e-mail wraz załącznikami i później przekazała je WikiLeaks” ([officers of a GRU unit] appear to have stolen thousands of emails with attachments which were later released by WikiLeaks). “Wygląda to” więc na zwykłą ściemę dla zachowania twarzy.

Warto przy tej okazji nawiązać do kilku innych internetowych elementów całej tej spiskowej sagi, bo pierwsza część raportu, której ostatecznym podsumowaniem jest brak dowodów na konspirację Moskwa-Trump, faktycznie bije wyłącznie w ten taraban, żeby w ogóle uzasadnić w jakikolwiek sposób śledztwo, wydatki z nim związane i cały ten cyrk.

Około 30 stron raportu poświęconych jest osławionej Agencji Badań Internetu (Internet Research Agency, IRA) spod Petersburga, która – pomimo poważnie brzmiącej nazwy – jest po prostu prywatną firmą do produkcji clickbaitów w sieciach

społecznościowych. Liberalni komentatorzy nadymali się niczym kłocobrzuchy [obwieszczając](#) o jakichś milionach dolarów, które IRA wydała na “podsyćanie niezgody” (fomenting discord) zwłaszcza na Facebooku.

Później okazało się, że kampania opisana jako trollerska była w istocie [mało polityczna](#), zupełnie nie pro-Trump i miała wymiar komercyjno-reklamowy z elementami [niskich lotów humoru](#). Wydano na nią nie żadne miliony, tylko ok. 120 tys dolarów, a ponad 56 proc. tych reklam [wyświetlanych było już po wyborach](#), zaś blisko $\frac{1}{4}$ [nikt nigdy nie zobaczył](#). Na Twitterze zaś miały szaleć rosyjskie boty, ale po jednym zawołaniu “sprawdza” i ta dykteryjka się rozleciała, gdyż okazało się, że większość kont wskazanych jako ruska nawała to raczej nie boty, [tylko ludzie z krwi i kości, większość z których nie jest Rosjanami](#).

Wróćmy jednak do e-maili. Niedługo po tym, jak afera z hackingiem serwerów DNC stała się tematem numer jeden, grupa specjalistów z organizacji Veteran Intelligence Professionals for Sanity (VIPS) przyjrzała się tym oskarżeniom i przeprowadziła badania, które jasno wykazały, że jest to kolejna propagandowa bzdura rozchłapywana po przestrzeni publicznej przez sprzyjające Demokratom kartele medialne.

Po pierwsze – FBI, ani żadna inna policja, tajna czy jawna, nie miała możliwości przyjrzenia się serwerom, które zostały ponoć zhackowane. DNC wyjaśniło, że zbadaniem tej sprawy może zająć się firma CrowdStrike. Traf chciał, że jej założycielem i szefem jest niejaki Dimitrij Alperowicz, prominentny członek Atlantic Council, amerykańskiego think-tanku demonstracyjnie wręcz rusofobicznego.

Po drugie – wystrugany z banana Guccifer 2.0 (na późniejszym etapie śledztwa Muellera oskarżony o bycie oficerem GRU); postać ta dokonała cudacznej autodencuncjacji jako haker, który wykradł inkryminowaną korespondencję. Został chyba słabo przygotowany do zadania, albo był bardzo niekompetentny. Celem przydania sobie wiarygodności bowiem ujawnił m. in. metadane

rzekomego hackingu. Wówczas William Binney, były specjalista National Security Agency (amerykański kontrwywiad wewnętrzny) i jeden z czołowych przedstawicieli VIPS [przeprowadził testy, które dowiodły, iż nie było mowy o żadnym hackingu](#), gdyż transfer takiej ilości cyfrowego materiału w internecie, w takim czasie, jak zostało to oznaczone w ujawnionych przez Guccifera danych, jest po prostu niemożliwy.

Mało tego, parametry transferu (42 megabajty na sekundę) wskazują na wykonanie lokalnej kopii na zewnętrzny dysk czy pendrive. Chodziło zatem o przeciek, a nie o hacking, który – nawiasem mówiąc – przy obecnym stanie zaawansowania technologii szpiegującej obywateli USA przez ich własny rząd nie jest po prostu możliwy bez częściowej choćby wiedzy NSA. Agencja ta dysponuje rejestrem absolutnie każdego ruchu w amerykańskiej sieci. Niektórzy spekulują, że sprawcą tego przecieku był Seth Rich, 27-letni pracownik DNC zamordowany 10 lipca 2016 r., który miał być wściekły na oszustwa i manipulacje wobec kandydatury socjaldemokraty Berniego Sandersa.

Po trzecie – e-maile Johna Podesta (szef kampanii wyborczej Hillary Clinton), które były zdaniem Demokratów i ich medialnych sprzymierzeńców najbardziej szkodliwe i w ostatecznym rozrachunku doprowadzić miały do przegranej Hillary Clinton, nie zostały zhackowane w klasycznym sensie tego terminu, tj. nie doszło do włamania do komputera. Podesta padł ofiarą tzw. [phishingu](#): ktoś wysłał mu e-mail z fałszywym linkiem, który tenże otworzył, wpisał tam hasło do swojej skrzynki poczty elektronicznej i w ten sposób korespondencja trafiła w niepowołane ręce. Mueller oskarża o to działanie Rosjan. Niech mu nawet będzie, choć nie ma na to żadnych przekonujących dowodów, są tylko groźne, elegancko sformułowane pohukiwania oraz oskarżenia. Nawet jeśli to źli KGB-iści, to Podesta podał im swoje e-maile na tacy.

Podsumowując nieelegancko – nic nie trzyma się kupy. Tak jak cały, wielki zbiór innych oskarżeń i spiskowych wątków – od

generała Flynna i jego spotkania z ambasadorem Kisliakiem, po “wielką kampanię rosyjskiej dezinformacji” realizowaną poprzez Google, która okazała się [zbiorem reklam za zawrotną sumę 4 tys dolarów](#) (sic!).

Raport Muellera zdewastował Russiagate, obrócił w pył i popiół najważniejszą dźwignię liberałów i frakcji amerykańskiego *high society* związanego z Demokratami. Z usilnie propagowanej przez trzy lata teorii spiskowej zostało dokładnie zero, nic!

Niestety, ci którzy uwierzyli we własną propagandę na fakty nie będą zwracali uwagi. Jeżeli już ktoś powiedział, że [Rosjanie zaatakowali USA jak Japonia w Pearl Harbour, jak terroryści 11 września](#), jeżeli już się [nagadało, że Putin może wyłączyć w tri miga całą sieć elektryczną w USA](#), bo [już raz wyłączył w Vermont](#), jeżeli się bredziło o [sonicznym ataku super-nowoczesną rosyjską bronią na dyplomatów amerykańskich na Kubie](#), jeżeli się wymyślało, że [Trump jest podpięty do jakiegoś tajnego serwera, dzięki czemu utrzymuje stały kontakt z rosyjskim bankiem](#), jeśli się [epatowało rzekomymi spotkaniami Assange’a i Manaforta](#), jeżeli się [histeryzowało, że reklamy vibratorów i zatyczek analnych są częścią podjazdowej wojny przeciw amerykańskiej demokracji](#), jeżeli [kilka razy w miesiącu przez ostatnie trzy lata ogłaszało się nową “bombę” i zapowiadało koniec prezydentury Trumpa](#)... Cóż, rozczarowanie musiało być bolesne.

Zostawmy jednak liberałów i Demokratów, aby radzili sobie ze swoimi trudnymi doświadczeniami samodzielnie. O wiele grosze niż ich dolegliwości jest to, iż ich działania doprowadzą prawdopodobnie do reelekcji Trumpa, albo przynajmniej dadzą jego przyszłej kampanii wielkiego kopa. Teraz wyborcy pomarańczowej Godzilli po prostu nie uwierzą już w żadną krytyczną uwagę na temat swojego kandydata. Jednocześnie wszystkie rzeczy, za które Trumpa należało krytykować, pozostały gdzieś w cieniu.

Odejdźcie od Porozumień Paryskich, zapowiedź wycofania USA z

traktatu INF, największy w historii Stanów Zjednoczonych transfer pieniędzy od biednych ku bogatym w postaci bezprecedensowych obniżek podatkowych, czy gigantyczna zwyczajka wydatków zbrojeniowych. Ma się rozumieć, to nie koniec listy – można by jeszcze długo wyliczać: wojna handlowa z Chinami, drastyczne zwiększenie liczby napaści przy pomocy samolotów bezzałogowych, dalsza dewastacja Bliskiego Wschodu poprzez budowanie napięcia wobec Iranu i ukłony wobec Izraela (wzgórza Golan, ambasada w Jerozolimie), próba przeprowadzenia zamachu stanu w Wenezueli... Naprawdę było i jest się czym zająć.

Spiskowe bzdurki rodem z kiepskiego zimnowojennego kryminału okazały się jednak bardziej atrakcyjne dla liberałów i „lewicy”. Tak za oceanem, jak i w Polsce. Receptą na te narastające i piętrzące się patologie byłaby lewica bez cudzysłownu. W USA takowa zaczyna się już coś wyłaniać w postaci kolejnej kandydatury Sandersa oraz wyjątkowej kongresmenki Tulsi Gabbard, która także podjęła walkę o nominację Demokratów w wyborach w 2020 r.

Tak, przeczytałem raport ze śledztwa prokuratora Muellera.

Autorstwo: Bojan Stanisławski

Źródło: Strajk.eu